



Gustave Aimard

ZASKRONIEC

Druga część cyklu „Piękna Rzeka”



31

ISBN 978-83-66268-43-2 (całość)
ISBN 978-83-66268-45-6 (część 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gustave Aimard

ZASKRONIEC



Gustave Aimard (właśc. Olivier Gloux) urodził się 13 września 1818 roku w Paryżu, zmarł 20 czerwca 1883 roku w paryskim przytułku św. Anny, do którego trafił pod koniec życia jako biedny, schorowany człowiek, uznany przez otoczenie za szaleńca.

Był autorem powieści przygodowych, jednym z najplodniejszych i najpopularniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.

Biologiczni rodzice porzucili go, został adoptowany przez rodzinę Gloux. Oficjalnie nazywał się Olivier Gloux, ale sam używał imienia Gustave. W wieku dziewięciu lat uciekł z domu i zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Młodzieńcze lata spędził w Ameryce Południowej, m.in. w Patagonii, później trafił do Ameryki Północnej, gdzie wiódł życie pełne przygód i parął się różnymi profesjami, był myśliwym, traperem, poszukiwaczem złota. W 1835 roku zaciągnął się do wojska, ale po kilku latach zdezerterował. Podróżował po Europie, Turcji, Kaukazie i obu Amerykach.

Po powrocie do Francji poświęcił się pisaniu powieści przygodowych. Szczególnie upodobał sobie opowieści o amerykańskim Zachodzie, które opierał na swym bogatym doświadczeniu i licznych wspomnieniach. W ciągu dwudziestu pięciu lat spod jego pióra wyszło około sześćdziesięciu powieści. Do najbardziej znanych należą *Traperzy z Arkansas* (1858) i *Bandyty z Arizony* (1882) oraz duży cykl *Władcy Oceanu*. Początkowo jego powieści publikowano w czasopiśmie takich jak „Le Moniteur”, „La Presse”, „Le Voleur” i „La Liberté”. Jego książki doczekały się we Francji licznych wznowień i adaptacji, także teatralnych.

Powieści Gustave’a Aimarda opisują losy mieszkańców Ameryki Północnej na tle kolonialnych ambicji wielkich europejskich mocarstw i postępującego procesu znikania populacji Indian. Autor chętnie sięga po postaci gońców leśnych, traperów i myśliwych, ludzi pogranicza stanowiących łącznik między europejską cywilizacją a światem Indian. Główni bohaterzy jego powieści to ludzie o europejskich korzeniach, niezależni i odważni, wyznający zachodnie wartości moralne, ale prowadzący indiański styl życia.

Gustave Aimard



ZASKRONIEC

Druga część cyklu „Piękna Rzeka”

Przełożyła i przypisami opatrzyła Justyna Nowakowska

**Siedemdziesiąta szósta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty pierwszy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Le serpent de satin

© Copyright for the Polish translation by Justyna Nowakowska, 2020

18 ilustracji, 4 karty tablicowe kolorowe: Emile Guillioud
zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2020


ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-66268-43-2 (całość)

ISBN 978-83-66268-45-6 (część druga)

Rozdział I

Spotkanie na pustkowiu

łońce zachodziło za górami Allegheny, nadając chmurom odcień purpury i złota. Doliny zalewał mrok, który z minuty na minutę coraz bardziej gęstniał. Szczyty gór oblewał ostatni, lekko opalizujący blask zachodzącego słońca. Zerwał się wieczorny wiatr, ostry i zimny, wstrząsający gałęziami drzew i przyginający wysokie trawy porastające brzegi rzeki. Wkrótce zapadła całkowita ciemność, przedmioty połączyły się w jedną masę, której coraz bardziej niewyraźne kontury znikały w mroku. Niebo było ciemne, a nisko zawieszona burzowa chmura szybko przepływała w przestrzeni. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy; ciemność, którą pogłębiał brak księżyca, utrudniała widoczność do tego stopnia, że rozróżnienie czegokolwiek w odległości dziesięciu kroków było zwyczajnie niemożliwe. Powietrze niesło przytłumione, nieodgadnione odgłosy, które ulatywały na mokrym skrzydle nocnego wiatru.

Przerwaliśmy opowieść o dwóch najważniejszych postaciach – hrabim de Villiers i baronie de Grigny – w chwili, gdy po dołączeniu do Bergera i Bystrego Słuchu w zatoce Marigots, wyruszyli pirogą w towarzystwie swych oddanych żołnierzy, Rameau-d’Or i Risque-Tout, i dwóch zwiadowców. Zatem już najwyższy czas wrócić do dwóch oficerów i prześledzić losy ich niebezpiecznej wyprawy.

Wydawało się, że piroga płynie pośród strumieni atramentu. Członkowie wyprawy milczeli, mimowolnie ulegając wpływowi posępnej przyrody, która napierała na nich ze wszystkich stron. Sachem i goniec leśny służyli za przewodników. Zresztą

ci dwaj mężczyźni płynęli pośród zupełnych ciemności z taką swobodą i łatwością, jakby słońce oświetlało im drogę; wydawali się odgadywać przeszkody, które co rusz się przed nimi pojawiały, i zręcznie je omijali, jakby sobie z nich kpiąc.

Przez ponad dwie godziny, jakie upłynęły od chwili, gdy piroga opuściła zatokę Marigots, uczestnicy wyprawy nie zamienili ze sobą ani słowa. Pan de Villiers postanowił w końcu przetrwać tę ciszę, która zaczynała być krępująca dla wszystkich.

– Mój drogi Berger – powiedział do myśliwego – czy nie boicie się, że zboczycie z kursu, upierając się, by kontynuować naszą podróż w ciemności? Jest czarno jak w nierozpalonym piecu.

– Faktycznie – rzekł baron, śmiejąc się – jesteśmy jak mała, która goni za własnym ogonem. Obawiam się, że niebawem będziemy się musieli zatrzymać.

– Czemuż to? – zapytał spokojnie Berger. – Sądzi pan, że sachem i ja po raz pierwszy podróżujemy w taką pogodę? Poza tym, jeśli my nic nie widzimy, to i nas nie widać, co jest dla nas bardzo ważne.

– Zgadza się – ciągnął hrabia. – Ale jeśli się zgubimy?

– My mamy się zgubić?! Panie Louis, nie, nie, nie ma się czego obawiać, zaręczam – odparł myśliwy, śmiejąc się.

– Chcę wam wierzyć, przyjacielu, może się mylę, ale wydaje mi się, że opuściliśmy środek rzeki i jesteśmy bliżej brzegu niż dotychczas.

– Prawie ma pan rację, panie Louis. Tak, zbliżamy się do brzegu.

– Będziemy obozować?

– Jeszcze nie, rzeka, na której teraz jesteśmy, jest bardzo wąska i chociaż płyniemy środkiem koryta, to jesteśmy dość blisko brzegu.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Opuściliśmy rzekę Ohio?

– Już dawno, panie Louis, i Monongahelę też. Od około godziny płyniemy bardzo głęboką, ale dość wąską rzeką, jak pan przed chwilą zauważył.

– Jak się zwie owa rzeka?

– Francuzi jej nie znają; czerwonoskórzy nadali jej indiańską nazwę, która brzmi *Żółta Woda*, ponieważ – co byłoby widać w świetle księżyca – jej wody są tak zamulone, że mają bardzo wyraźny żółtawy odcień.

– Długo będziemy płynąć tą rzeką?

– Nie, panie Louis. Za kilka minut ją opuścimy i wpłyniemy na inną. Tą drugą będziemy płynąć przez dwie godziny, a potem dobijemy do brzegu. Nasza podróż wodą dobiegnie wówczas końca.

– Dobrze! Droga do pańskiego domu zajmie dużo czasu?

– Nie, panie Louis. Dotrzemy na miejsce przed wschodem słońca.

– Bardzo dobrze! Ta informacja mnie cieszy. Ale powiedzcie mi, Berger, dlaczego trudzimy się podróżowaniem po ciemku, choć tak naprawdę nic nas do tego nie zmusza. Nie lepiej byłoby gdzieś zacumować, by przeczekać noc? To pozwoliłoby nam odpocząć przez kilka godzin, a o świcie wznowilibyśmy żeglugę.

– Jestem tego samego zdania – rzekł baron, ziewając tak szeroko, że mało nie zwichnął sobie szczęki. – Nasi żołnierze są szczęśliwsi od nas: chłopcy śpią jak susły.

– W innych okolicznościach nie miałbym nic przeciwko, by działać tak jak sobie życzyacie, panowie – odpowiedział chłodno myśliwy. – Niestety, to niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytali młodzieńcy.

– Sza! – powiedział myśliwy. – Proszę mówić ciszej, nie wiadomo, kto może nas usłyszeć.

– Jak to?! – zawołał baron. – Ktoś może nas usłyszeć na tym pustkowiu?

– Panie, czerwonoskórzy mają pewne mądre powiedzenie...

– Ba! Jakie powiedzenie?

– Panie, mówi ono, że na pustkowiu drzewa mają oczy, a liście mają uszy.

– Do diaska! Obawiacie się więc jakiejś zasadzki? – zapytał hrabia de Villiers.

– Nie, panie Louis, ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Obecnie przepływamy przez tereny łowieckie plemion, które są wrogie Francuzom. Kto wie, czy w pobliżu nie zasadziło się kilku indiańskich wojowników?

– Och! Och! Rozumiem, że jesteście ostrożni, szlachetny przyjacielu, niech tak będzie.

W niewielkiej odległości od pirogi dobiegł prawie niezauważalny odgłos przypominający drżenie tafli wody. Berger dotknął ramienia hrabiego, sugerując mu tym samym, by zamilkł i nasłuchiwał. Wódz zrobił tak jak myśliwy.

Po upływie dwóch, może trzech minut odgłos się powtórzył; był tak samo słaby, ale tym razem dobiegał z innej strony.

Myśliwy pochylił się w kierunku Bystrego Słuchu, mężczyźni zamienili ze sobą kilka słów głosem równie cichym co oddech. Sachem odłożył wiosła, zdjął bawole okrycie, zacisnął pas, za którym zostawił tylko nóż do skalpowania, i ześlizgnął się do wody. W międzyczasie Berger polecił młodzieńcom przejąć pagaje i utrzymywać pirogę nieruchomo w tym samym miejscu.

Myśliwy położył palec na spuście strzelby, pochylił się do przodu, wyteżył słuch oraz wzrok i starał się przebić na wskroś ciemności, które jak czarny całun rozciągały się od jednego

krańca horyzontu do drugiego, spowijając całą okolicę nieprzeniknionym mrokiem.

Dwóch oficerów zżerała ciekawość; nie rozumieli, czemu mają służyć działania podejmowane przez przewodników. Ogarnął ich jakiś mimowolny, wewnętrzny niepokój; choć nie wiedzieli, jak wyjaśnić ich dziwne zachowanie, domyślali się, że wokół nich dzieje się właśnie coś niezwykle istotnego. Chcieli się dowiedzieć, o co chodzi, ale z racji tego, że nie znali indiańskich obyczajów, a zatem nie wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo im grozi, nie odważyli się zainterweniować, obawiając się, że taka interwencja może pokrzyżować plany myśliwych. Wkrótce i tak mieli poznać wyniki tego planu działania.

Nagle ciszę przeszył stłumiony krzyk. Chociaż krzyk ten był bardzo słaby, jego brzmienie było tak bolesne, tak przejmujące, że Francuzi zadrżeli z przerażenia. W tej samej chwili woda wzburzyła się, jakby ktoś energicznie ją cofnął; piroga przechyliła się na lewo, a do łodzi wskoczył mężczyzna. To był Bystry Słuch. W jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej triumfalnie dzierżył krwawy skalp. Wódz zamienił kilka słów z Bergerem, ponownie wziął wiosła i ruszyli w dalszą drogę.

– Na Boga! – zawołał hrabia. – Co się stało?

– Nie trzymajcie nas już dłużej w niepewności – dodał baron de Grigny.

Dwóch żołnierzy obudziło się; oni też słuchali, rozdarci między strachem a ciekawością. Nie mieli pojęcia, co się wydarzyło podczas ich snu.

– Cóż! – odpowiedział obojętnie Berger. – Nie ma się czym emocjonować; sprawdziły się moje podejrzenia, to wszystko!

– Ale – rzekł baron – to nam niczego nie wyjaśnia.

– Krótko mówiąc oto cała rzecz: Anglicy, których żywotnym interesem jest wiedzieć wszystko o tym, co się dzieje

w naszym kraju, rozmieścili wzdłuż całej naszej granicy kordon zwiadowców. Pomimo naszej ostrożności i podjętych środków, było prawie niemożliwe, aby udało się nam przekroczyć ten kordon niepostrzeżenie lub przynajmniej niezauważenie. Oto, co się wydarzyło: zauważył nas zwiadowca i wszedł do wody, aby przyjrzeć się nam z bliska. Niestety, biedaczek nie miał szczęścia, bowiem wódz i ja mieliśmy się na baczności i czuwaliśmy, a gdy zbliżał się, niczego nie podejrzewając, znalazł się twarzą w twarz z wodzem, który zabił go bez mrugnięcia okiem, a później oskalpował, zgodnie ze zwyczajem czerwonoskórych. Taka jest cena za nadmierną ciekawość! – dodał, śmiejąc się.

– Hm! – powiedział hrabia. – Ale co, jeśli krzyk tego człowieka usłyszał jeszcze ktoś oprócz nas?

– Nie ma się czego obawiać.

– Dlaczego?

– Bo był sam.

– Jesteście tego pewni?

– Tak, to Indianin z Delawarów¹, a wojownicy z tego plemienia zwykli chodzić po wojennych ścieżkach w pojedynkę, zwłaszcza gdy w grę wchodzi zasadzka.

– Cóż, przyznaję wam rację – powiedział hrabia – ale co teraz zamierzacie zrobić?

– To, co robimy, nic innego, kontynuujemy naszą wyprawę rzeką tak szybko, jak to możliwe.

– Ale co, jeśli natkniemy się na innych zwiadowców wroga?

¹ *Delawarowie* – francuska nazwa plemienia Indian z Ameryki Północnej, z grupy algonkińskiej, ich nazwa własna to Lenape, zamieszkiwali pierwotnie w stanie New Jersey i wschodniej Pensylwanii, nad rzeką Delaware; w 1682 r. sprzedali Pennowi swe ziemie nad Atlantykiem i przenieśli się na zachód, do stanu Ohio ciągle wypierani przez białych osadników walczyli z nimi, po klęsce w 1811 r. zamieszkali w stanie Missisipi; obecnie jest ich około 11 tys. w rezerwach w Oklahomie.

– Tym gorzej dla nich, ale nie sędzę, żeby do tego doszło. Teraz jesteśmy stosunkowo bezpieczni, przekroczyliśmy linię; byłoby to niezwykle, gdybyśmy spotkali jakiegokolwiek wroga, białego lub czerwonoskórego.

Jakby zrzędaniem losu, jeszcze tym razem, jakby dając wyraźne zaprzeczenie tym słowom, po raz kolejny w niewielkiej odległości od łodzi rozległ się dość głośny hałas.

– He? – zawołał hrabia. – Co znowu?

Myśliwy nasłuchiwał przez sekundę lub dwie, potem wstał beztróska i spojrzął na Bystry Słuch.

– Jeszcze jeden wróg – powiedział.

– Ach, zatem się myliliście się? Przyznajecie się?

– Bynajmniej! – odpowiedział Berger, śmiejąc się. – Ten wróg jest mile widziany. Proszę mi zaufać.

– Przynajmniej wyjaśnijcie, o co chodzi.

– To zbyteczne. Sam pan zobaczy, co się stanie, tylko proszę poczekać.

– W tych ciemnościach nic nie zobaczymy – zauważył hrabia.

– Cierpliwości, panie Louis. Na Boga, jaki pan w gorącej wodzie kąpany! – odrzekł myśliwy.

– Czy możemy wam pomóc?

– Być może...! W każdym razie na mój znak bądźcie gotowi do strzału. W razie potrzeby nie omieszkać poprosić was o pomoc.

– Ale gdzie? Jak? Do czego? Do kogo?

– Zobacz pan, jeszcze pan zobaczy! Umowa stoi?

– Tak, skoro się tego domagacie! Ach, okropny z was przewodnik!

– Dziękuję, panie Louis, ale obiecacie mi, bez względu na wszystko, że ani pan, ani pańscy towarzysze nie będziecie strzelać bez mego rozkazu. Najlepiej, jeśli jest to możliwe, unikać

wystrzałów, których huk mógłby przyciągnąć nieproszonych gości, których nie powinniśmy spotkać na naszej drodze.

- Niech tak będzie. Będziemy posłuszni, zaczekamy na znak.
- Dokładnie.

Podczas tej rozmowy piroga nie zwolniła. Hałas szybko się zbliżał i niepokojąco nabierał na sile. Cały czas rozmawiając, z pogodą ducha, która była wyrazem pewności siebie i nieprzywiązywania wielkiej wagi do tego nowego niebezpieczeństwa, goniec leśny grzebał w torbie myśliwskiej, aż wreszcie wyciągnął z niej polano grubości pięści i długości około piętnastu cali; polano pochodziło ze szczególnego rodzaju drzewa, które Indianie nazywają *ocote*¹, czyli zgniłe drewno. Berger umieścił je z przodu pirogi. Młodzieńcy uważnie śledzili te przygotowania, ale w ogóle ich nie rozumieli.

– Teraz, proszę uważać – powiedział myśliwy, umocowawszy solidnie polano na przodzie łodzi.

– Na co mamy uważać, stary myśliwy? – zapytał baron.

– Zaraz zobaczycie – odpowiedział myśliwy, uderzając w krzesiwo i kładąc na polano wiązkę namoczonych w wodce pakul², które zamieniły się w lśniąca pochodnię.

Rzekę zalała szeroka łuna światła, której ośrodkiem była piroga.

– Tam – powiedział Berger, wyciągając rękę. – Widzi go pan?

– Ejże! – zawołał hrabia. – Faktycznie, ale cóż to jest? Coś się tam rusza... ale co to?

– Grizzly³ przechodzący przez rzekę; nic więcej.

– A to ci dopiero! – powiedział baron, zacierając ręce. – Niedźwiedź szary jest bardzo dobry, jak powiadają.

¹ *Ocote* – popularna nazwa różnych gatunków sosny.

² *Pakuly* – krótkie, splecione włókna lnu, konopi lub juty.

³ *Grizzly* – wielki niedźwiedź żyjący w Ameryce Północnej.

- Doskonały! Ale wcześniej musimy go schwytać.
- Słusznie! Wydaje się kierować się w tę stronę. Zobacz, Berger.
- Znakomicie, światło go przyciąga.
- Wydaje się monstrualnie wielki – stwierdził hrabia. – Ma ogromny łeb!
- Grizzly jest najgroźniejszym zwierzęciem na tych ziemiach – powiedział myśliwy. – Jego pazury mogą być długie na dziesięć, a nawet dwanaście cali. Jego siła jest ogromna, zwinność niezrównana, a drapieżność tak wielka, że jaguary nie mają odwagi się z nim mierzyć.
- Hm! – rzekł baron. – Zatem to wróg, z którym trzeba się liczyć.
- Owszem. Każdy pojedynek z nim jest śmiertelny. Jeśli my go nie dorwiemy, on dorwie nas, ostrzegam pana.
- Do diabła! Musimy go dorwać. Słyszycie?
- Rameau-d’Or i Risque-Tout skinęli głowami.
- Postaramy się... – mówił dalej Berger. Proszę uważnie posłuchać: za jakieś pięć minut będzie przy nas. Kiedy znajdzie się w moim zasięgu, rozwalę mu łeb siekierą.
- Dobrze! A co, jeśli nie padnie?
- Wystrzelicie, wszyscy razem, nie zważając na mnie, inaczej będziemy niechybnie zgubieni. Celujcie głównie w ślepie, bowiem inaczej kule rozplaszczą się na jego czaszce. Zrozumiano?
- Jasne, ale co z wami?
- Uchylę się, proszę się nie martwić. Teraz cisza! Zbliża się.
- Czterej Francuzi załadowali broń; wódz wiosłował tak spokojnie, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Berger stał wyprostowany na przodzie pirogi z siekierą w ręku. Olbrzym był tylko kilka stóp od pirogi. Jego ogromny łeb wystawał po-

nad wodę; ślepią błyszcząły w ciemności jak dwa płonące węgle, żądny krwi pysk, uzbrojony w potężne zęby, otwierał się w równych odstępach czasu, aby wypuścić chrapliwe ryki.

Targani niepokojem Francuzi zamarli na chwilę. Wszyscy czterej opuścili lufy. Berger, z górną połową ciała wygiętą do tyłu, z wysoko uniesioną ręką uzbrojoną w siekiere, z prawą nogą wysuniętą do przodu, czekał z zimną krwią i spokojem. Wódz nadal wiosłował, obserwując niedźwiedzia bez strachu ani gniewu.

– *Chew y erresk!* – Do przodu! Trochę w prawo! – krzyknął myśliwy.

Indianin nieznacznie skrzywił pirogą. Wtedy jedna z potężnych łap dzikiej bestii oparła się o burtę i łódź przechyliła się prawie do poziomu wody.

Siekiera opadła z prędkością błyskawicy. Niedźwiedź straszliwie zaryczał, a piroga wyprostowała się.

– Odłóżcie broń – powiedział chłodno Berger. – Rozłupałem mu łeb aż do ślepi.

Niedźwiedź wydawał z siebie straszliwe ryki w ostatnich konwulsjach agonii, burząc wodę uderzeniami czterech gigantycznych łap. Bystry Słuch powoli ześlizgnął się do wody, zbliżył się do rżężącego monstrum, złapał zwierzę za tylne łapy i związał je, a potem holował go za sobą, płynąc powoli w kierunku brzegu. Piroga podążyła za nim. Sześciu mężczyzn zadało sobie wiele trudu, by wyciągnąć trupa olbrzyma na brzeg. Był to piękny niedźwiedź grizzly, ważący prawie tysiąc funtów. Gdy tylko zwierzę znalazło się na ziemi, Indianin i myśliwy zabrali się za obdzieranie go ze skóry, co zrobili ze zręcznością i szybkością dowodzącą ogromnego doświadczenia; następnie odcięli cztery łapy słynące z delikatnego mięsa, zabrali



Siekiera opadła z prędkością błyskawicy. Niedźwiedź straszliwie zaryczał, a piroga wyprostowała się.

kilka funtów polędwicy, cały tłuszcz, a resztę zwierzęcia zostawili na pożarcie drapieżnym ptakom.

– Prowiant mamy zapewniony! – Zaśmiał się myśliwy.

– Niewątpliwie, no i wyborny posiłek – rzekł baron.

– Co pan myśli o tej zwierzynie, panie Louis?

– Na honor, myślę, że to zwierz pokaźnych rozmiarów i że dość trudno go ubić.

– Zależy, jak się za to zabrać – odpowiedział wesoło Berger.

– W każdym razie to ekscytujące zdobywanie pożywienia.

Kiedy przeniesiono pozostałości niedźwiedzia i starannie złożono je w pirodze, podróżni ponownie wsiedli do łodzi. Pochodnia, teraz bezużyteczna, została zgaszona. Indianin i myśliwy wzięli w ręce wiosła i ruszyli w drogę.

– Daleko jeszcze? – zapytał hrabia.

– Za kilka minut wpłyniemy na rzekę, o której panu mówiłem, panie Louis, i w ciągu dwóch godzin dotrzemy do celu naszej żeglugi.

– Dobrze. A potem?

– Pozostanie marsz lądem. Mówiłem już panu, że dotrzemy do mnie o świcie.

– O wschodzie słońca!

– Tak, panie Louis.

Odpowiedzi zawtórowały dwa westchnienia zadowolenia. Myśliwy odwrócił głowę, uśmiechając się. To dwaj żołnierze mimowolnie dali znak, że żyją. Oczywiście, mimo całej przyjemności, jaką mieli ze spotkania z niedźwiedziem grizzly, poczuli chęć kontynuowania podróży po solidniejszym gruncie niż ten, na którym znajdowali się w tym momencie. Hrabia de Villiers, który podzielał ich punkt widzenia, powiedział jedynie:

– Dalej, mój dzielny Bergerze... Ufamy Bogu i tobie!

– Wreszcie, panie Louis, pamięta pan, że obiecał pan traktować mnie jak przyjaciela... swojego brata. Przez całą drogę zwracał się pan do mnie per pan.

Teraz Kanadyjczyk wiosłował z większą czujnością i radością.



Rozdział II

Nocna podróż

Diroga, która od czasu wypłynięcia z zatoki Marigots cały czas, z wyjątkiem polowania na niedźwiedzia grizzly, poruszała się środkiem rzeki, skręciła w prawo i zbliżyła się do brzegu. Jak zapowiedział goniec leśny, około trzeciej nad ranem dotarła do mocno wysuniętego cypla. Ów cypel, raczej będący przylądkiem, był całkowicie pozbawiony drzew i roślinności.

Podróźni zeszedli na ląd z nieskrywaną radością. Ta długa i żmudna przeprawa w wąskiej i niewygodnej łodzi straszliwie ich wymęczyła. Spieszyło im się, by pochodzić i przywrócić krążenie krwi w kończynach, które przez tak długi czas trwały w bezruchu.

Niebo zaczynało jaśnieć. Na horyzoncie widać było liczne opalizujące pasy zwiastujące świt. Pólcień pozwalał bezpiecznie poruszać się po tym nowym terenie.

– Przed wszystkim, wodzu – powiedział Berger – zabezpieczymy pirogę.

Bystry Słuch, który, jak można było zauważyć, nie był gadatliwy, wykonał gest na znak aprobaty.

– Tutaj? – zapytał hrabia.

– Owszem, tutaj.

– Będzie trudno.

– Nie tak trudno, jak pan myśli, panie Louis. Zobaczysz pan, ukryjemy ją tak, żebyśmy w razie potrzeby mogli ją znaleźć.

Najpierw rozładowali pirogę. Poszczególne przedmioty, które się w niej znajdowały, podzielili na małe pakunki, które

chwilowo złożyli na plaży. Następnie wyciągnęli łódź z wody, odwrócili ją do góry dnem, a Berger, z pomocą czerwono-skórego, wziął ją na ramiona. Każdy z uczestników wyprawy wziął po pakunku. Ruszyli w drogę.

Po około kwadransie marszu dotarli na skraj lasu. Indianin, który służył za przewodnika, wszedł po cichu do zagajnika; jego towarzysze poszli za nim i wkrótce sześciu mężczyzn zniknęło między drzewami.

Las ten, jak to na ogół bywa w Ameryce, składał się tylko z jednego gatunku drzew, w większości bardzo starych, porośniętych mchem zwanym hiszpańską brodą¹, który zwisa w formie długich festonów² z końca gałęzi, połączonych ze sobą niedającym się rozplątać skupiskiem lian. Na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe nie tylko wejść do tego lasu, ale nawet przejść przez niego, tak wiele przeszkód, które co rusz wyrastały na drodze, mnożyło się w tych doprawdy rozpaczliwych warunkach.

Jednakże dla dwóch zręcznych gońców leśnych te trudności nie stanowiły problemu; w jakiś niepojęty sposób odnajdywali drogę przez ten chaos. Francuzi szli za nimi ścieżką uczęszczaną przez dziką zwierzynę, co prawda dość wąską i nieskończenie krętą, ale wystarczająco drożną, aby iść nią, zbytnio się nie męcząc. Uczestnicy wyprawy dotarli do polany powstałej w wyniku obalenia się kilku starych drzew. Dotarłszy w to miejsce, zatrzymali się.

¹ Hiszpańska broda – popularna nazwa oplątwy brodaczkowej (*Tillandsia usneoides*), gatunku rośliny z rodziny bromeliowatych (*Bromeliaceae*); epifit zwisający z konarów drzew; ma długie (do 5 m), cienkie, zwisające i rozgałęziające się łodygi o srebrzystoszarej barwie, gdyż okryte są srebrzystymi włoskami; występuje w Ameryce Południowej, Środkowej oraz południowych obszarach Ameryki Północnej.

² *Festony* – zwieszające się malowniczo gałęzie, kwiaty lub liście.

– Odpocznijmy – powiedział Berger, rzucając pirogę na ziemię.

– Zatem dotarliśmy na miejsce? – zapytał hrabia.

– Jeszcze nie, panie Louis, ale już niedaleko. Za pańskim pozwoleniem zjedzmy śniadanie! Niech pan zobaczy! Wódz już rozpała ognisko. Pójdę mu pomóc.

– Na Boga! My też – powiedział Rameau-d’Or. – Apetyt szybko rośnie, jak się robi takie przebieżki! Choć do wybitnych kucharzy nam daleko!

– Ja urodziłem się kucharzem – odparł Risque-Tout z powagą.

Zdanie zabrzmiało fałszywie. Zaśmiali się i dali mu się wykazać, skoro chwalił się takimi talentami.

– Zatem, moi dzielni kompani, do dzieła! – powiedział wesoło Berger. – Najpierw ukryję pirogę w miejscu, w którym później będzie ją można łatwo znaleźć, i w którym byle kto...

I zostawiwszy dwóch żołnierzy i wodza, aby na zmianę zajmowali się przygotowaniami do posiłku, poszedł na koniec polany, gdzie zaczął, jedno po drugim, uważnie badać drzewa.

Olbrzymi las, w którym znaleźli się ci awanturnicy, składał się w całości, jak już wspomniano, z drzew tego samego gatunku, czyli *Cupressus disticha*¹, jednego z najpiękniejszych w Ameryce Północnej, który zasługuje na odrębny opis.

Cupressus disticha jest jednym z najciekawszych drzew Nowego Świata²; zadziwia przede wszystkim swoim majesta-

¹ *Cupressus disticha* – łacińska nazwa cypryśnika błotnego (także *Taxodium distichum*); gatunek drzewa należący do rodziny cyprysowatych; występuje naturalnie w południowo-wschodnich stanach USA, szczególnie na błotnistych obszarach Florydy, jednak już od dłuższego czasu sadi się go w Europie jako drzewo ozdobne i parkowe; drzewo dorasta do 25 m.

² *Nowy Świat* – tak nazywano odkrytą przez Kolumba w 1492 r. Amerykę, w odróżnieniu od Starego Świata, tj. Europy, Azji i Afryki.

tycznym wyglądem. Jak się bliżej podejździe, można w nieskończoność podziwiać prosty, nagi pień, zwieńczony ogromną koroną, która rzuca na ziemię cień podobny do chmury płynącej po niebie na średniej wysokości; kolor drzewa jest przyjemny dla oczu, a liście mają strukturę, której nie da się z niczym porównać.

Drzewo to rośnie zwykle w wodzie lub na nizinnych, płaskich terenach sąsiadujących z jeziorami i dużymi rzekami, pod warunkiem, że przez większą część roku grunty te zalane są dwoma czy trzema stopami wody.

Zarówno ta część pnia, która jest zanurzona w wodzie, ja i ta, która wystaje ponad jej powierzchnię na cztery lub pięć stóp, jest wzmocniona odnogami. Odnogi te nazywa się *wspornikami*.

Kiedy drzewo osiąga pełną wysokość, odnogi odchodzą na wszystkie strony w taki sposób, by zostawiać między sobą przestrzeń na tyle szeroką, że może się w niej łatwo schować kilku mężczyzn.

Każda z odnóg kończy się pod ziemią dużym i silnym korzeniem. Ten korzeń rośnie skrętnie, dzieli się i rozchodzi we wszystkich kierunkach w wierzchniej warstwie gleby, bezpośrednio pod powierzchnią ziemi.

Z owych korzeni wyrastają stożkowate odgałęzienia, zwane przez Indian *cyprysowymi kolanami*¹, które osiągają wysokość od czterech do sześciu stóp, a u podstawy mają od sześciu cali do dwóch stóp średnicy. Duże *cyprysowe kolana* są puste w środku, więc Indianie zamieniają je w ule dla pszczół.

Niewielka część drzewa, znajdująca się mniej więcej na wysokości odnóg, jest również wydrążona. Ale tam jej natura wyda-

¹ *Kolana oddechowe, pneumatofory* – typ nadziemnych korzeni, doprowadzających powietrze do systemu korzeniowego rośliny.

je się zmieniać. Prosty odcinek pnia, przypominający marmurową kolumnę, ma osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt stóp. Następnie dzieli się, skręca w prawo i w lewo, w przód, w tył, słowem – we wszystkich kierunkach, by w końcu uformować płaską, poziomą jak baldachim koronę, w której orły wiją gniazda i na której czasami odpoczywają żurawie i bociany.

Do wyjątkowego piękna tych drzew przyczyniają się długie wstęgi wielkich mchów, które zwisają z wysokich gałęzi i unoszą się na wietrze.

Nic nie jest w stanie dokładnie oddać osobliwego i majestatycznego charakteru lasu złożonego w całości z tych wspaniałych olbrzymów królestwa roślin!

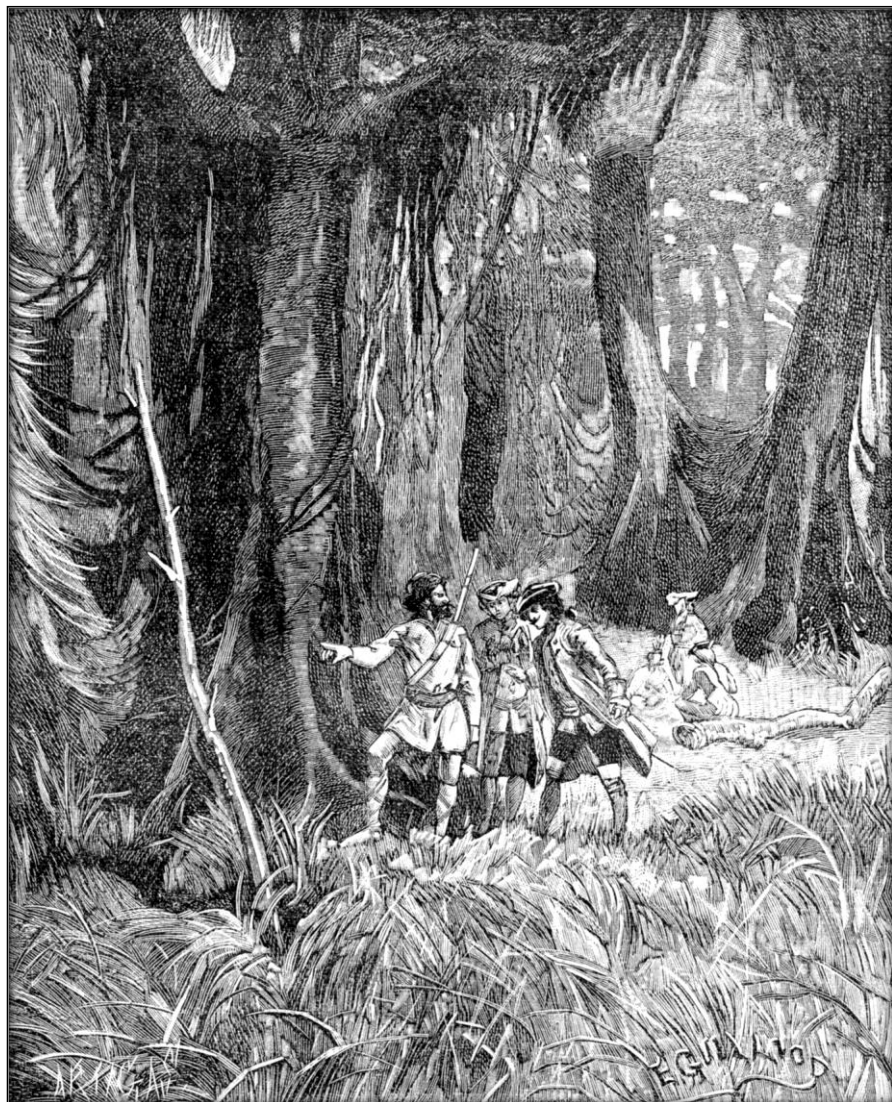
Hrabia de Villiers i jego przyjaciel, którzy po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Ameryki znaleźli się pośród prawdziwych pustkowi, których ręka człowieka nie zdążyła jeszcze zdeformować, rozglądali się z zachwytem. Z ciekawością przyglądając się ruchom Kanadyjczyka, który z niezwykłą wprawą zdołał umieścić pirogę w pustym pniu drzewa i tak dobrze zamaskować kryjówkę, że gdyby sami o niej nie wiedzieli, nikt nie byłby w stanie jej odkryć, obaj przyjaciele stopniowo posuwali się w kierunku skraju polany.

Zatrzymał ich głos Bergera.

– Ej! – zawołał myśliwy, podbiegając do dwóch młodych mężczyzn. – Ani kroku dalej, panowie, jeśli życie wam miłe.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytali ze zdziwieniem. – Grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? W każdym razie, czy jest tak wielkie, że...

– Straszliwe, ogromne! Jesteśmy na bagnie. Wychodząc poza obszar tej polany, która – z wyjątkiem okresów wysokiej wody – tworzy rodzaj stromego pagórka, ryzykujecie wpadnięciem do zapadliska o głębokości mniej więcej dziesięciu do dwuna-



Wówczas wziął kij, wychylił się poza polanę i wbił go lekko w trawę.
Kij zaczął kiwać się w lewo i w prawo...

stu stóp, gdzie natychmiast udławilibyście się błotem i mułem; ta szorstka i zielona trawa, którą widzicie dookoła, rośnie na płynnym błocie. Spójrzcie.

Wówczas wziął kij, wychylił się poza polanę i wbił go lekko w trawę. Kij zaczął kiwać się w lewo i w prawo... Potem zaczął się stopniowo zapadać, długim i ciągłym ruchem, aż po kilku minutach całkowicie zniknął, a miał ponad piętnaście stóp długości.

– Widzieliście – powiedział spokojnie myśliwy.

– Oczywiście! – odpowiedział baron, błędąc. – To straszne... Gdybyś nas w porę nie ostrzegł...

– Daleko rozciąga się to bagno? – zapytał hrabia.

– Na dwadzieścia lig, może więcej, nikt tego nie wie.

– Dlaczego zatem, mój przyjacielu – kontynuował hrabia – wybraliście tak niebezpieczną drogę?

– Ponieważ to jedyna droga prowadząca do miejsca, do którego was zabieram. Wioska, w której mieszkam, jest otoczona z trzech stron tym bagnem; poza tym nic wam nie grozi.

– Słusznie! Chodźmy jeść. Wydaje mi się, że na nas czekają.

Wódz i jego dwóch pomocników tak dobrze wykorzystali czas, że posiłek był już gotowy. Składał się oczywiście z niedźwiedzich łap upieczonych w popiele, grillowanych połędwic – treściwych potraw, do których dodano ignamy¹ i chleb, a do picia manierki wypełnione winem i wódką. Nocna przeprawa znacząco zaostrzyła apetyt podróżników. Usiedli w kółku na trawie, każdy wziął sobie najbardziej odpowiadający mu ka-

¹ *Ignam* (pochrzyn, jams, *Dioscorea*) – pnąca roślina zielna z klasy jednoliściennych; ponad 600 gatunków (głównie byliny), na obszarach międzyzwrotnikowych i podzwrotnikowych, niektóre tamże uprawiane; bulwy głównie podziemne (do 2 m długości i 18 kg wagi), po ugotowaniu lub upieczczeniu stanowią podstawowe pożywienie skrobiowe w wielu krajach; po wysuszeniu dostarczają mączki skrobiowej.

wałek i zaczęli jeść z niespożytym zapałem, co groziło, że po posiłku nie zostaną żadne resztki. Kiedy jedli, śmiejąc się i żartując, wstało słońce.

Krajobraz nagle się zmienił. Był tak piękny, że Francuzi, którzy nie przywykli jeszcze do wielkich spektakli natury, na wyścigi wydawali okrzyki podziwu. Promienie słońca załamywały się nad polaną falami światła. Wzrok nieustannie uciekał ku platanom majestatycznym, wiekowych drzew, których liściaste wierzchołki tworzyły ogromną kopułę zieleni. Wraz z nastaniem dnia budziły się ptaki i zaczynały swój wesoły koncert. Tu i ówdzie widać było wielobarwne papugi. Wiewiórki szare¹ i dydelfy² skakały z gałęzi na gałąź, w nieoczekiwany sposób ożywiając wszystkie składniki nieożywionej przyrody. Ta przyroda, która zaledwie kilka chwil wcześniej wydawała się poszukiwaczom przygód cicha, nudna i smutna, teraz żyła, rozkwitała, oddychała wszystkimi swoimi gigantycznymi porami, olśniewała okazałością i pięknem, dzięki dobroczynnemu wpływowi promieni słońca. To było zachwycające widowisko.

Gdy podróżnicy kończyli posiłek, nieopodal rozległ się krzyk krogulca wodnego³. Hrabia podniósł głowę.

¹ *Wiewiórka szara* (*Sciurus carolinensis*) – gryzoń z rodziny wiewiórkowatych, rodzime we wschodniej części Ameryki Północnej, większe od europejskich wiewiórek pospolitych, mają srebrzysto-szare futerka, dla których stanowiły obiekt polowań, bywały także jedzone.

² *Dydelf północny* (szczur workowaty, *Didelphis virginiana*) – ssak nadrzewny z rodziny dydelfowatych, długość do 45 cm, ogona do 35 cm; występuje od Nikaragui po południową Kanadę; sierść puszysta, szarżółta, poluje na drobne kręgowce, żywi się też pokarmem roślinnym; młode po wyjściu z torby matki są noszone przez nią na grzbiecie; obiekt polowań i zwierzę laboratoryjne.

³ *Krogulec wodny* – może tu chodzić o krogulca zmiennego (*Accipiter striatus*) – drapieżnego ptaka z rodziny jastrzębiowatych (*Accipitridae*); gniazduje w Ameryce Północnej, zimuje w Ameryce Środkowej; pożywienie stanowią małe i średniej wielkości ptaki.

- Na co patrzycie? – zapytał Berger.
- Wypatruję ptaka, który krzyknał.
- To krogulec wodny, nasz sprzymierzeniec – rzekł myśliwy.

I sam tak doskonale odwzorował odgłos tego ptaka, że młody człowiek odruchowo się obrócił.

- Ej! Ale cóż to? – zawołał.

W tej samej chwili na polanie u wylotu drogi położonej na wprost tej, którą przyszedli członkowie wyprawy, pojawił się około pięćdziesięcioosobowy oddział.

– To przyjaciele – odpowiedział Berger, podnosząc się. – Indianie i Metysi, którzy wyszli nam na spotkanie. To oni zasygnalizowali swoją obecność krzykiem, który pan usłyszał.

- Są mile widziani! – powiedział wesoło młodzieniec.

Wszyscy powstali, by powitać przybyszów, którzy zatrzymali się na skraju polany. Czekali nieruchomo i w milczeniu, aż ktoś się odezwie.

Byli dobrze zbudowanymi mężczyznami, o dumnych twarzach, pełnych energii; większość była w kwiecie wieku. Gdyby nie brody, u niektórych porastające całe policzki, oraz długie blond włosy opadające bujnymi lokami na ramiona, bardzo trudno byłoby ich odróżnić od Indian, bo mieli niemal identyczny kolor skóry, w odcieniu wypalanej cegły, i ubrania o niemal identycznym kroju.

Berger dał znak i ludzie rozdzielili się na dwa osobne oddziały: Bystry Słuch stanął na czele pierwszego, a Kanadyjczyk drugiego.

Wówczas wódz podszedł do hrabiego i złapał go za lewe ramię prawą ręką, zgodnie z indiańskim zwyczajem.

– W końcu przybyłeś – powiedział do niego, używając zwyczajowej formuły powitania. – Oto moi synowie, oto Huroni

z Jezior; kochają swego Wielkiego Białego Ojca. Na moje zaproszenie przyszedli do ciebie; możesz nimi rozporządzać wedle uznania w służbie naszego Wielkiego Białego Ojca. To najznamienitsi wojownicy z mojego plemienia; ich ramiona są silne, ich serca są dzielne, ich język nie kłamie, a ich oczy widzą zarówno nocą, jak i za dnia.

– Dziękuję ci, wodzu – odpowiedział hrabia – za sprowadzenie tu waszych synów, pozostaną z nami. Mam nadzieję, że z ich pomocą i waszymi radami szczęśliwie wykonamy rozkazy naszego Wielkiego Białego Ojca; on kocha swoich indiańskich synów i pragnie ich szczęścia.

Berger stopniowo tłumaczył tę przemowę Indianom, tak jak służył jako tłumacz Bystremu Słuchowi, bo chociaż wódz rozumiał francuski, a nawet nim władał, to jego znajomość języka nie była na tyle duża, by sam mógł wygłosić mowę.

Indianie pokłonili się z szacunkiem, a na znak zadowolenia dwukrotnie wydali z siebie straszliwy wojenny okrzyk, który dzikimi akcentami wprowadził w drżenie głębokie leśne ostępy.

Hrabia odwrócił się w stronę Metysów.

– Towarzysze – powiedział, witając się z nimi – nie potrzebujemy tłumacza. Jesteśmy rodakami, to znaczy braćmi. Nie ma znaczenia, czy urodziliśmy się po tej czy po drugiej stronie oceanu, czy jesteśmy Kanadyjczykami, albo Europejczykami, wszyscy jesteśmy synami tej samej matki, tego dostojnego narodu francuskiego, którego szlachetne tradycje tak dobrze reprezentujecie w Ameryce. Dlatego też liczę na to, że będziecie walczyć z naszym wspólnym wrogiem, musicie też polegać na mnie, gdy poprowadzę was wszędzie tam, gdzie wymaga tego obrona honoru Francji!

– Niech żyje Francja! Niech żyje król! Śmierć Anglikom! – wołali grzmiącymi głosami Kanadyjczycy, stukając entuzjastycznie bronią.

– Tak, moje dzieci, niech żyje król! Niech żyje Francja! – powtórzył hrabia, machając kapeluszem.

Gdy okrzyki ucichły i nastąpiła względna cisza, hrabia znów zabrał głos.

– Powierzona nam misja jest na miarę waszej odwagi i doświadczenia. Mamy ogromne trudności do przezwyciężenia, niebezpieczne potyczki do rozegrania, ale z waszą pomocą i wspomagany radami Bergera, którego poświęcenie jest mi dobrze znane, nie wątpię, że moje wysiłki zostaną zwieńczone sukcesem.

– Honor nakazuje nam zrobić, co w naszej mocy, by panu pomóc, panie Louis – powiedział myśliwy. – Niech pan wie, że wypełnimy nasz obowiązek.

– Wiem o tym i z góry panu dziękuję; zachował się pan jak rozsądny człowiek, Berger, wzywając naszych przyjaciół na to spotkanie z dala od wszelkich niedyskretnych spojrzeń. Teraz, gdy uzgodniliśmy fakty, nie musimy obawiać się szpiegowania przez wrogów i możemy wyruszyć, gdy tylko zakończymy niezbędne przygotowania.

– Panie Louis, kierując się interesem naszej wyprawy i dbając o to, byśmy nie zblądzili na fałszywym szlaku, pozwoliłem sobie oddelegować jednego z naszych najsprytniejszych zwiadowców na poszukiwania Anglików. Wyruszył wczoraj o wschodzie słońca, więc jego nieobecność nie powinna trwać długo. Być może lepiej byłoby poczekać na jego powrót przed podjęciem ostatecznych decyzji. Bez wątpienia przyniesie nam wieści o tych, których chcemy zaskoczyć.

– W pełni podzielam waszą opinię i gratuluję wam, przyjacielu, że pomyśleliście o wysłaniu tego zwiadowcy, ale co będziemy robić w międzyczasie, aby nie wzbudzać podejrzeń swoją obecnością?

– To, co pierwotnie zostało uzgodnione, panie Louis: będziemy polować; poza tym żaden szpieg nie odważyłby się wejść w nasze szeregi, gdyż wszyscy się znamy, więc zostałby natychmiast zdemaskowany... i powieszony!

– Zgadza się! Teraz, jeśli nic nas tu nie trzyma, myślę, że nadszedł czas, abyśmy udali się do pańskiej wioski.

– Tak, tym bardziej, że jesteśmy niecierpliwie wyczekiwani... Jesteśmy nawet trochę spóźnieni!

– Zatem w drogę!

Kilka minut później dwa oddziały, które połączyły się na powrót w jeden, opuściły polanę i zagłębiły się w las, idąc ścieżką, którą wcześniej przyszli Metysi, jedyną drogą prowadzącą przez bagna.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!